

MAŁGORZATA  
KALICIŃSKA

*Lilka*



Małgorzata Kalicińska

LILKA

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-16-7

Copyright © Małgorzata Kalicińska

Projekt okładki: Olga Bódko

W książce wykorzystano wiersz o idiocie autorstwa Ryszarda Groseta

## **SPIS TREŚCI**

Baranek... czyli kilka słów o mamie i tacie  
Codzienność  
Tatko, mama  
I znów codzienność  
Pokusa  
Moja cudowna zwyczajna mama  
Realia, czyli Kocham moje warszawskie mieszkanie!  
Pani Miecia  
Agata  
Piątek, czyli niespodziewany koniec mojego lata  
Singielka to ja?  
Wyblakłe fotki  
Jak zaczęłam, czyli pierwsze spotkanie z Erosem  
Lilka  
Dzwonek do drzwi  
Gdzieś w hotelowym korytarzu...  
(żółte kartki) Z letargu, czyli skąd się wziął Kazimierz i Mirek  
Wizyta  
Piątek – moja pierwsza grupa terapeutyczna  
(żółte kartki) Pelagia Pawelec, czyli mój anioł stróż  
Do taty, pogadać  
(żółte kartki) Wakacje z tatą  
Jeszcze ta sobota u taty  
Wernisaż i Lila  
Eugeniusz, wujek Gieniu  
(z żółtych kartek) Kumple  
Moja kampania społeczna  
Czas płynie powoli  
Piątek indywidualnie. Rozprawiam się z trupem Czarka  
(żółte kartki) Czarkiem oczarowana  
Kawiarniane ustalenia  
(żółte kartki) Podstawówka w Otwocku  
Z Lilką

Spadam z konia  
Centrum  
Piątek  
O czym miałam nie wiedzieć  
Niepostrzeżenie  
Boże Narodzenie – cisza przed burzą  
(żółte kartki) Ciotka Jadwiga  
Wigilia  
Serce czasem staje  
Tato!  
(żółte kartki) Zdjęcia na agfie, stan wojenny, dzisiaj jak za mgłą  
Wiosna radosna  
Fitness  
Pająk w cieniu  
Jak na filmie  
Wiara góry...  
Co czujesz?  
Trzeba jakoś to przeżyć...  
(żółte kartki) Gienek w kilku odsłonach  
Pies  
Sprawy duże i małe...  
Pułapka  
Zielono mi...  
Lato, lato...  
Komórka, czyli zdarzenie dość niezwykle  
Praca, praca i moje widzimi się...  
Maile – smile  
Decyzja  
Tea Room  
Sostenuto  
Sobota na Zamościu  
Słodko-gorzko  
Oddech  
Nie jest dobrze

Burza

Ulica Spokojna

Bal

U taty

Przystanek Antoni

Ból

Pod górkę

Nie widzę, nie słyszę...

Propozycja

## Baranek... czyli kilka słów o mamie i tacie

Nazywam się Marianna Roszkowska, z domu Barańska.

Pospolite imię, nazwisko też, i uroda, i wszystko. Dzisiaj niewysoka, średniej budowy, z nadmiarami tu i ówdzie, dama półwieczna i trochę. Taka byłam zwykła Marianna i najzwyczajniejsza Barańska... Nic szczególnego, ale jak byłam mała, bardzo mała, i przedstawiałam się nieznanym, dygałam, zapominałam nazwiska, i mama mówiła:

– No, Maniu? Jak się nazywasz? Powiedz: „Marianna...???”. Widać byłam matolkowata, bo stale zapominałam i mówiłam:

– Naiwam się Majanna...

– No, Maniu, Ba-rań-ska, od baranka!

Więc czasem załatwiałam sprawę skrótowo:

– Naiwam się Majanna Bajanek! – wypalałam, byle szybko, uważając to za świetny żart, i uciekałam zadowolona, że już po wszystkim.

Nie znosiłam tych publicznych przedstawianek, deklamacyjek, dygnięć i „powiedz wierszyk”. Mama, niestety, lubiła. Byłam małym dziewczęciem z blond warkoczami i piegami. Jedyńca, wychowywana przez mamę właściwie samotnie. To znaczy biologicznego ojca nie pamiętam, ale za to doskonale sobie przypominam, że przez długi czas mojego dzieciństwa wychowywały mnie dwie kobiety – moja mama i Pela, stara, dobrotliwa, kochana Pela.

Tatko, czyli Michał Drożdż, pojawił się w naszym życiu później.

Mama wykładała fizjologię zwierząt na SGGW w Warszawie. Michał – mój przybrany ojciec – był jej studentem. Przeciągał studia, bo przeniósł się z biologii, powtarzał jeden rok i drugi, i tak jakoś się porobiło, że został jej asystentem, a później się... zaprzyjaźnili, już po tym, jak mama została sama.

Michał, jak to wiem ze skąpych relacji mamy, po prostu był. Opowiadała mi, jak już byłam dość duża, że Michał niezauważalnie wkleił się w jej zawodowe, a potem w nasze prywatne życie. Okazał jej wiele serdeczności, a mówiąc dzisiejszym językiem – wsparcia.

– No, ale jak? – dopytywałam.

– Nijak, po prostu był, załatwiał za mnie masę spraw, brał ćwiczenia, wykłady, gdy trzeba było, ułatwiał mi ówczesną egzystencję. No... był!

Pamiętam, jak go poznałam. Mama zabrała mnie na uczelnię, nasza Pela nie mogła ze mną być, bo zachorowała jej siostra. Ja jeszcze nie chodziłam do szkoły, a w przedszkolu było trucie szczurów, więc mama westchnęła i zabrała mnie ze sobą. Siedziałam cicho na zapleczu pracowni, czekając, aż mama wróci z dziekanatu, i wtedy wszedł Michał. Kucnął i popatrzył na mnie, mówiąc:

– Cześć, krasnalku! Jak ci na imię?

Naturalnie, gdy się przedstawiałam Michałowi, jak zwykle stanęło na „Mariannie Baranek”. Wtedy już jako duża panna, przedszkolak z ostatniej grupy, doskonale wiedziałam, że żartuję, i wymówiłam Baranek z udawaną powagą.

Michał patrzył na mnie też z taką uwagą i trzymając w dłoniach moją łapinkę, powtórzył poważnie, dla pewności:

– Ba-ranek? Ma-rianna?

– Tak – odpowiedziałam najpoważniej. – Baranek.

Wtedy Michał powiedział:

– Witam panią, pani Baranek – i pocałował mnie w rękę!

Oczarował mnie i już. Młody, z wesołym usposobieniem i taki... ładny. Nie wiedziałam, co znaczyło „przystojny”. Dla mnie ówczesnej ludzie byli ładni i nieładni.

Michał był ładny, ciemnowłosy, ciemnooki. Nie śmiał się ze mnie, nie obraził i nie sprostował mojego „Marianna Baranek”, i odtąd jako jeden jedyny mówił do mnie „Baranku” i mówi tak do dzisiaj! Nie pamiętam, żeby inaczej...

Bywałam u mamy na uczelni jako mała dziewczynka, bo niekiedy Pela, moja niania, musiała zająć się chorą siostrą albo sąsiadką. Czasem szłam z mamą do bufetu na gorące parówki, czasem musiałam zaczekać, aż skończy jakieś zajęcia, i wtedy opiekował się mną właśnie Michał, student, który przesiadywał u mamy na zapleczu pracowni godzinami. Nosił granatowy sweter na koszulę i ładnie pachniał wodą kolońską. Nie napiszę „tanią” – bo skąd ja niby miałam wiedzieć – tanią czy nie? Zresztą wtedy chyba wszystkie, jakie były, to Lawendowa i Prastara – taka w wiklinie, która stała u mamy w łazience jako antidotum na zakażenie, gdy starłam sobie kolano albo drzazga jakaś wlaźła. Mama zawsze wzdychała i mówiła:

- Trzeba pokolońskować.
- Koniecznie? – targowałam się bez wiary i nadstawiałam kolanko.
- Możesz krzyczeć – mówiła mama i kolońskowała, a ja krzyczałam:
- Aua! Aua, aua, aua!!!

Michał wprowadził mnie drastyczną metodę. Kiedyś, idąc do mamy z Pelą, przewróciłam się na Rakowieckiej i starłam skórę na dłoni i kolanie. Zaryczaną Pela wprowadziła mnie do maminego gabinetu, w którym miałam siedzieć godzinę, zanim nie pójdziemy do dentysty. Ponieważ mama kogoś egzaminowała, zajął się mną Michał. Wyjął coś z białej szafeczki wiszącej na ścianie i powiedział:

- Zobaczysz czary! Patrz, spienisz się jak oranżada w proszku!
- A mogę wrzeszczeć?
- Możesz, ale nie będzie potrzeby, bo to nie szczypie.

I nie szczypało! Ranki zakleił mi plastrem z opatrunkiem i dopiero wtedy Pela westchnęła i poszła sobie spokojna, że nie umrę.

Zawsze pokazywał mi preparaty w słoikach z formaliną – żabę z flakami na wierzchu i gołębia, też z flakami i żołądkiem wypełnionym grochem. Jakieś kościotrupy zwierzęce, szkielety kota i ptaka, psią czaszkę, i pozwalał mi rysować na tablicy, ustawiając trzy taborety obok siebie, żebym mogła sobie rysować, co chcę, nie złącząc z nich. Zresztą te taborety były drewniane, ciężkie i tworzyły coś w rodzaju podestu. Czasem znajdował mi kawałeczki kolorowej kredy i rysował ze mną... Zaśmiewaliśmy się, rysując zwierzo-strachy i dziwaki.

Potem przychodziła mama, zbierała się i chłodno zęgnęła Michała. Zawsze jednak patrzyła na niego tak, że wiedziałam, że coś ukrywa. Uśmiechała się tak ledwo, ledwo, mówiąc:

- To... do zobaczenia jutro, panie Michale.
- Podbiegłam do mamy i pokazałam jej moją dłoń już opatrzoną.
- Słyszałaś? Nie darłam się!
- Słyszałam – mama uśmiechnęła się powściągliwie i spytała: – A czemu?
- Bo Michał mi pokolońskował taką, co nie piecze!
- Mama spojrzała na niego i pokręciła głową.
- Cudotwórca! – i kazała mi się pożegnać.
- Mamo – spytałam w tramwaju za głośno. – A czy Michał będzie twój mąż? Bo ja bym chciała, żeby mąż!

Nie wiedzieć czemu, wysiadłyśmy na następnym przystanku... Do dentysty szłyśmy pieszo. Mama nic nie mówiła, nie wytłumaczyła niczego, a Michał wpadał czasami do nas, zostawiając jakieś książki. Podczas jego wizyt nikt nie marudził, że idę na podwórko, a Pelagia mogła wyjść wcześniej. Podbiegałam do niej z piaskownicy albo z trzepaka na pożegnalnego buziaka, a ona mówiła głośno i sztucznie:

– Mamusia ma teraz korepetycje, nie przeszkadzaj. No, do widzenia, dzieciaku, i umyj ręce, jak wrócisz, bo tu do piachu psy srają!

\* \* \*

Po jakimś czasie poczułam sama, że mama za bardzo lubi towarzystwo Michała, i zaczęłam być zazdrosna. Byłam krnąbrna, czasem wręcz niegrzeczna i mama chyba musiała się poskarżyć Peli, bo ta opowiedziała mi bajkę o smutnej królowej, która usychała w swoim zamku z samotności, nie wiedząc o tym, że na moście wiodącym do zamku stała wredna jędza i nie wpuszczała do jej królestwa nikogo! Później sprytnie wywołała u mnie współczucie i przyganiła, że ja mogę się bawić z każdą koleżanką na podwórku, a sama zachowuję się jak pies ogrodnika.

– Jaki pies? – spytałam.

– No jak taki pies, co nikogo do ogrodu nie wpuści. Przecież ty masz swoje koleżanki i kolegów na podwórku, a mamusia sama w domu i sama.

– I co?

– No, że jej bywa smutno, to choć ten cały Michał wpadnie, pogada... A ty się boczysz. Nieładnie tak!

Skoro Pela tak mówiła, to chyba miała rację. Wstyd mi się zrobiło, bo Pela była dla mnie wielkim autorytetem!

W tym też czasie na podwórku pojawiła się nowa koleżanka – Gosia – z pięknymi zabawkami i często spędzałam u niej czas. Jej lalki miały tyle ciuchów! Przebierałyśmy je stale, bo jej babcia co rusz podrzucała nam a to kaftanik, a to buciki. W kąciku Gosinym stała również mała kuchenka i garnuszki, i talerzyki dla lalek... Poza tym ona miała taką fantazję! Zmieniłam swoje zapatrywania i przestałam się obrażać na mamę i Michała. Za to polubiłam bywanie u Gosi.

On wpadał do nas w soboty. Zostawał do późna. Gdy ja już zasypiałam, oni siedzieli w kuchni i grali w karty. W niedzielę rano znowu był i jadł z nami śniadanie, potem mama poprawiała prace studentów, a ja z Michałem szłam do parku nad sadzawkę, nad kanałek, a tuż przed obiadem zabierał nas obie na poranki do kina Sawa. Po obiedzie szliśmy na działki. Mama szła wolno, nucąc, i kupowała od działkowiczów jakieś kwiatki, a Michał się uśmiechał do niej i brał ją za rękę. Ja skakałam na skakance albo pchałam wiklinowy wózek z lalką. Byliśmy jak inne rodziny.

Podobno gdy się dziekan o tym dowiedział, dostał szału i zrobiło się niemiło. Za romansowanie z asystentem dostało się mamie i musiała zmienić pracę. Michał jeszcze pracował na uczelni.

Ze swoimi rodzicami Michał był skłócony. Wieczorami mama i on rozmawiali o tym długo. Słyszałam z łóżka, nie raz! Michał wreszcie pojechał pogodzić się z nimi i wrócił niezadowolony, bo znów się pokłócili, a kiedy dowiedzieli się, że Michał chce się ożenić ze starszą od siebie kobietą, i to z dzieckiem, powiedzieli, że całkiem mu rozum odebrało.

– Wandeczko, nic do nich nie trafia! – mówił do mamy rozczarowany po przyjeździe.

– Chcieli dla ciebie innej przyszłości, sam mi mówiłeś.

– Ale ile można zmuszać dorosłego człowieka i nie słuchać go?! Z matką to już kompletnie się nie mogę dogadać, nie przekrzyczę jej, a ona jak wpadnie w słowotok...

– Nie akceptują twojej decyzji? Nie chcą nas poznać?

– Kochanie, nie przejmuj się!

Nie chcieli.

Mama pocieszała Michała, bo to on się przejął. Mówiła do niego spokojnie, gładziła po twarzy. Lubiałam ich podglądać, gdy się przytulali, to było takie miłe! No i



już wiedziałam, że się pobiorą! A oni, rodzice Michała, nie przyjechali nawet na ślub, bo był cywilny.

Kiedy to się stało, mama miała dobrze po trzydziestce, a Michał był jakoś przed, ale wyglądał znacznie młodziej. Mama dojrzała jak na swój wiek, no i ten status – pani z doktoratem i matka. Na nielicznych zdjęciach z tego okresu ma na sobie wąską spódnicę, szeroki pasek, koturny z cienkimi paseczkami i ciemne okulary, trwałał ondulację i poważny wyraz twarzy. Stoją ze mną w zoo. Mama jest wysoka jak Michał, a on chudziak, wesolek, trzyma mnie za jedną rękę, w drugiej ma lody, a grzywkę mu rozwiewa wiatr. Wygląda jak mój znacznie starszy brat...

Na drugim jest on, mama i jakieś jeszcze dwie studentki. Ja stoję na taborecie, a zdjęcie jest robione w laboratorium. Trzecie zdjęcie jest z ich ślubu. Stało zawsze w ramce na biurku ojca. Spłowiałe, czarno-białe. Mama w pięknej rozkloszowanej szmizjerce, na halkach, w kapeluszu, z goździkami w rękę, tata w za dużym garniturze. Sztucznie upozowani stoją przed Urzędem Stanu Cywilnego przy Nowym Świecie.

Na czwartej fotografii stoją podobnie, ze świadkami – wujkiem Gieniem, przyjacielem taty, i jakąś koleżanką mamy, a ja w środku, w sukience z falbanką i kokardami we włosach, trzymam ich za ręce.

– Mamo, to Michał będzie twoim mężem już?

– Tak, Maniu.

– To znaczy, że będzie też moim takim... tatą?

– No tak... ale ty masz już tatusia.

– Nie mam wcale tatusia. Prawdziwy tatuś to czyta dziecku bajki i kupuje prezenty, i chodzi w niedzielę na poranki. I kocha swoją córeczkę!... A tamten ma swoją nową córeczkę.

Mama uśmiechnęła się szeroko i kiwnęła głową. Chyba się ucieszyła. Nie wiedziała, że poprzedniego dnia odbyłam już naradę z Pelą.

– Pela, a w sobotę jest mamy ślub z Michałem!

– To wiem, bo zaproszenie mi dali.

– Pójdziemy?

– Ja pojedę tramwajem, a ty pojedziesz z mamusią. Wystroisz się ładnie, uprasowałam ci tę niebieską sukienkę z falbanami. Mama ci loka zrobi albo kokardy zawiąże.

– Pela, a jak mama się ożeni z Michałem...

– ...mówi się „wyjdzie za mąż” – poprawia mnie Pela.

– ...to wtedy już są mężem i żoną?

– Sama przecież wiesz, to po co pytasz?

– No bo mamę to mam, a wiesz, że Michał będzie moim nowym tatą.

– No... ojczymem się mówi. Bo przecież twój tata to żyje, tylko z wami nie jest.

– Ojczym? Pela?! Ojczym?! To nieładnie... Jak macocha. Macocha Kopciuszka była okropna!

\* \* \*

Podczas ślubu stałam koło maminego fotela. Nie chciałam usiąść. Uważałam, że nie tylko mama bierze ślub z Michałem, ale ja też. Szczerze mówiąc, traktowałam to jak rodzaj bajki, że oto z sąsiedniego królestwa przyjechał do mnie całkiem nowy tata, więc od dnia ślubu „tatowałam” mu już zawsze i dość ostentacyjnie. Michała to bawiło, ja byłam zachwycona.

\* \* \*

Czas jakiś mieszkaliśmy razem na Saskiej Kępie, na Niekłańskiej, w ładnych czteropiętrowych blokach. Pela przychodziła rzadziej i wcześniej wychodziła.

Akceptowała Michała, ale nie okazywała mu wielkiego szacunku, o wszystko pytając mamę. Przyglądała się. Gdy musiała o coś spytać Michała, pytała przeze mnie.

– Idź, dzieciaku, idź, i spytaj go, czy coś zje, bo mama ma dziś... naradę pedagogiczną i wróci późno, i patrzaj mi tu, w kuchence obiad zostawiam, a wam co, kanapki teraz dać, zupy? Czy zjecie później, czy teraz, bo nie wiem...

Biegłam do taty, który przychodził do kuchni i mówił do Peli uprzejmie:

– Jeśli można, pani Pelagio, to zjadłbym teraz zupę z Marianką, a potem z żoną drugie danie, dobrze?

Trochę czasu minęło, zanim zaakceptowała mojego nowego tatę i chyba go polubiła, bo okazywał jej szacunek i sprawdził się jako mąż i ojciec. Przetestował się! Zdał egzamin.

\* \* \*

Peli warkocz bardzo posiwiiał, ona sama zrobiła się maleńka i sucha. Nadal lubiłam ją bardzo i jej miękkie ręce na mojej buzi, zrzęczenie i wszystko, co gotowała. Nawet kaszę na mleku.

Przychodziła najpierw codziennie, potem dwa razy w tygodniu, a później raz tylko...

Od dnia ślubu mama była zadowolona, wesoła i uśmiechała się często. Michał nas bardzo kochał. Ludzie w bloku najpierw zaszumieli, że „ta nauczycielka z własnym studentem”, a potem zamilkli. Pogodzili się z tą sytuacją, jak to ludzie. Mama pracowała w liceum, ja uczyłam się w podstawówce, a Michał uczył w technikum matematyki i chemii, a wieczorami dorosłych, w wieczorówce, ale nie lubił tego. Wracał zmęczony. Nie powodziło nam się jakoś nadzwyczajnie, ale było normalnie.

Po czasie odezwali się jego niezbyt mili rodzice, że się starzeją, ojciec bardzo choruje, ich dom koło Otwocka i gospodarka niszczeje, a przecież Michał po to poszedł studiować na „rolnym”, żeby przejąć gospodarkę i być rolnikiem z dyplomem, a nie „przydupasem jakiejś nauczycielki”.

– Pela, co to „przydupas”? – spytałam ją kiedyś podczas nawijania wełny na kłębek. Musiałam trzymać motek na rozstawionych rękach, a Pelagia nawijała.

– Kto to ci powiedział? O Michale, tak?

– No... jego rodzice tak powiedzieli. Jak mamy nie było, to była jego matka i krzyczała na niego, że się zbłąźnił, że zmarnował ich pieniądze i że się sam marnuje, i że jest tym, no... co powiedziałam.

– To brzydkie słowo. Nie powtarzaj. A Michał... Nie taki znów zły, skoro z twoją matką i z tobą jest jak... ojciec rodziny. Znaczą młodziak, młodszy od twojej matki, ale jak tak patrzę, nie pije, nie bije, i układny, i za wami bardzo...

– Co znaczy „za wami”? – nie rozumiałam.

– No, że wyście mu obie bliskie, ciebie jak dzieciaka swego traktuje, no tak? Trzymaj szerzej, napnij, bo, patrz, się splątało! – sarknęła.

## Codziennosc

Ach, co ja bym dała dzisiaj za moją kochaną Pelę! Wydaje mi się, że pewnego typu ludzi dzisiaj już nie ma. Zupełnie jakby zamknięto linię produkcyjną. Są różne bejbisiterki, opiekunki, supernianie, nianie Franie, ale takiej niani jak Pela to ze świecą... O, mam następny temat do naszego kolorowego magazynu. Mam zaszczyt pracować w czasopiśmie wysokonakładowym, które trywialnie jest określane mianem „kolorowe”. Tak, kolorowo u nas jest nadzwyczaj: „Niania na wagę złota”! Dobrze! Aż się odchyliłam na krześle z radością i popatrzyłam za okno, na niebo.

Do mojego warszawskiego mieszkania wpada ciepłe, nagrzane cichym podwórkiem powietrze. Cichym, bo kamienica, tak lubię mówić o naszym niewielkim bloku, postarzała się i dzieci tu nie ma. To znaczy lokatorzy są już starzy, a niegdysiejsze dzieci powyrastały, wyfrunęły w świat, więc podwórko zarosło trawą i nawet klomby zrobione przez dozorcę trzymają się ładnie. Wiśniowe dale obsadzone dookoła aksamitkami. Trwaj, lato, trwaj! Zimą mam w pamięci na świeżo. W tym roku była paskudna, bardzo śnieżna, mroźna, długa. Na ulicach i na podwórku wielkie zasy, problemy z parkowaniem, odśnieżaniem... Mirek kupił od pana Litza, a właściwie od wdowy po nim, garaż, i w ten sposób mamy choć jedno miejsce, czasem dwa. W garażu i przed nim. Ale w tę zimę odśnieżania było dużo i nie wiadomo było, co robić z rosnącą hałdą śniegu.

Doskonale pamiętam nasze modły w redakcji o ciepło, o wiosnę, o dłuższy dzień, bo już wszyscy byliśmy bardzo zmęczeni zimą, ciemnymi i krótkimi dniami.

Pracuję w redakcji czasopisma od kilku lat. Przedtem przedłam jakieś ogony w radiu i w telewizji w *Rolniczym kwadransie*, zanim go nie zlikwidowali. Później trafiłam do „Przeglądu Rolniczego”, a tam błysnęłam zdolnościami pisarskimi i wydałam kilka kulinarnych opowiadań w niezłym wydawnictwie. Od ponad pięciu lat jestem w kolorowym, damskim dobrym piśmie ze średniej półki jako pani redaktor.

Ostatnio miałam napisać reportaż z Indii o uprawach przypraw, o kulinariach etc., bo znalazł się sponsor. Poleciałam do Indii! I ja się w tych Indiach strułam czymś tak fatalnie, że właściwie cały pobyt przeleżałam w szpitalu, wymiotując i pocąc się w atakach gorączki. Coś tam jednak mi wyszło, bo już po powrocie kleciłam teksty z pomocą poznanej tam, w Koczin, osiadłej na stałe Rosjanki. Ona mi wysyłała różne materiały netem, a ja składałam to w mój niby-reportaż.

Teraz obrabiam już ostatni tekst i zdobię zdjęciami. Przemiała jest ta Roksana, doprawdy, a moja naczelna nic nie komentuje, choć zdaje sobie sprawę, że tam chorowałam. Udaje, że nie wie, i jest okej.

Nie zmieniałam naszego pisma na inne, choć oczywiście chciałam, ale w moim wieku to niebezpieczne. Na rynku jest ciężko, bo młodych dziennikareczek teraz mnóstwo, szukają pracy i wygryzają starsze koleżanki na potęgę i bez pardonu. Zwyczajnie – boję się i dobrze mi tu. Nie rozwijam się, klecę stale właściwie to samo. Regina, moja naczelna, mówi, że jestem dobra, więc niepotrzebne mi zawirowania.

Jakiś czas temu koleżanka proponowała mi rozmowę kwalifikacyjną w kolorowym piśmie z tej „baaaardzo górnej półki”. Czułam, że to nie moja liga! Tam jest taka nerwowa atmosfera, bitwa o każdą czytelniczkę, a przecież to proste – mało jest w Polsce kobiet, które średnio zarabiają miesięcznie tyle, ile kosztuje mały samochód. Kiedy się patrzy na to, co reklamują te magazyny dla elegantek, można sądzić, że wszystkie opływamy w luksusy.

Pierwsza ich reklama z brzegu, proszę: skromniutka jak worek sukienka w cenie miesięcznej pensji nauczycielki, także para bucików to cyferka i kilka zer, bluzeczka, kapelusik i mamy kilka pensji przeciętnej Polki. Zdjęcia piękne, wystudiowane, sesje na Maderze, na Korsyce, ale jak dla mnie to jakiś absurd... Modelki chude jak wykałaczkę, drogie sesje, dla kogo? Dla przeciętnej pani Joasi z blokowiska to są zdjęcia totalnie niespójne z jej rzeczywistością i nawet jej marzeniami. W jej mieście ani tych sklepów nie ma, ani ona, mimo ukończonych studiów, nie ma takich ani nawet zbliżonych zarobków, chociaż pracuje i zarabia jak na nasz kraj dobrze.

No, nie. Nie umiałabym.

Rozmowa w redakcji była komiczna, choć z pewnością byłoby powiedziec żałosna. Ja już od progu wiedziałam, że to pomyłka. Zastępcą szefowej jest facet, któremu się wydaje, że jest młody. Dziesięć lat młodszy ode mnie, fakt, ale manieri i język... Niby-

elegancja, niby-kultura, ale w powietrzu już czułam nonszalancję, bo pierwsze pytanie było o mój... wiek.

– Czterdzieści pięć plus – odpowiedziałam wesoło, odejmując sobie dziesiątkę.

Nie chciałam wyjść na obrażalską, ale mnie to zmroziło. Przecież wiedział, kim jestem, bo byłam tu z polecenia koleżanki!

– Duży czy mały? – odpowiedział zaczepnie i wcale to nie było ani merytoryczne, ani miłe.

– To takie ważne? – spytałam. – W teczce są moje teksty.

– Tak, przeglądałem je.

Pan w kilku okrągłych zdaniach powiedział mi, że ich czasopismo jest tak kolorowe, tak eleganckie i tak bardzo lifestylowe, że powinnam spaść z krzesła z samego zachwytu, że tu teraz jestem. No, ale w domyśle, że powinnam się stąd zabierać, bo moje teksty są zbyt zwyczajne, i szczególnie nie pasuje mu ten o dziewczynie, która mimo że z powodu raka ucięto jej nogę aż do pachwiny i ma protezę, radzi sobie doskonale w życiu. Jest młoda, piękna, ma wspaniałego, przystojnego męża, który zresztą zbierał z przyjaciółmi pieniądze na tę protezę, i kocha ją, i są szczęśliwi. Także wywiad z kapitalną bizneswoman, która wskutek ostrej białaczki straciła wzrok, a mimo to nie załamała się, dalej pracuje w biznesie, ma jak poprzedniczka kapitalnego męża, który ją kocha i wspiera, i na dodatek realizuje swoją ostatnią pasję – zaczęła pływać na żaglach! Dołączyłam miniwywiad z naszym mistrzem olimpijskim w żeglowaniu, wyrażającym się o tej Jagodzie w superlatywach i zachwytach.

– To znakomite bohaterki dnia codziennego – zachęcałam wicenaczelnego. – To dziewczyny z najwyższej życiowej półki! Używają dobrych perfum, pracują i afirmują siebie mimo swojego kłopotu, żyją pełnią życia!

Redaktorek skrzywił się sceptycznie. Odłożył moją teczkę na biurko i pokręcił głową.

– Nie rozumiemy się – powiedział. – To się dla nas absolutnie nie nadaje!

– Dlaczego? Teraz masa ludzi wychodzi z choroby zwyczajnie, a kalectwo nie jest przeszkodą...

– Pani wybaczy, nasze czytelniczki za osiem złotych kupują sobie drzwi do lepszego świata, a ja nie zamierzam ich epatować ani straszyć kalectwem!

Odebrało mi mowę. Musiałam wyglądać jak kura, gapiąc się na niego bez zrozumienia i mrugając oczami.

Ala odprowadziła mnie do windy, milcząc.

– Zadzwoń – szepnęła.

Biedna. Zadzwoiła, sumitując się. Mówiła mi, że gdyby naczelna mnie przyjęła, to wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Co ty, Alka! Ja do was pasuję jak dupa do jeża, ty tam też nie pasujesz, tylko się ukrywasz, maskujesz. Prawda? Piszesz i robisz tak, jak oni tego chcą. A ja tak nie umiem. Zawsze przed czymś takim uciekałam.

Nie wylądowałam w piśmie prestiżowym, cudnym, kolorowym, ale za to mam spokój w mniej lakierowanym, lecz o wyższym nakładzie, a mój materiał poszedł bez problemu. Mam wolną rękę, z powodu zainteresowań piszę teksty okołokulinarne, czasem robię wywiady. Naczelna zazwyczaj daje moje materiały do druku, nawet gdy zmieniam troszkę zadany temat. Ona rozumie, że czasem trzeba odejść od swoich zabawek i pobawić się całkiem innymi, a nasze czytelniczki za mniej niż osiem złotych kupują sobie widok z okna na świat, znany i nieszokujący cenami ani modelkami w rozmiarze chorobliwym. Ostatnie nasze sesje: „Babcia, Mama, Córka; Dziadek, Ojciec, Syn – dzinsy na co dzień i od święta” zrobiły furorę. Normalni ludzie, doskonale zdjęcia, zwyczajny temat. To był mój projekt, bo zobaczyłam w parku

kapitałną parę – starsi państwo w dżinsach, oboje w jasnych koszulach i blezerach, tacy nobliwi, fajni, i podbiegł do nich wnuczek też w dżinsach. Pomysły są na ulicy!

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI